

# Z chłopa król



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

BAJKI I POWIASTKI

## Z chłopca król

Na imię mu było Gawel, był najmłodszym z braci, — wszyscy oni uchodzili za rozumnych, jego głuptaszkim nazywano; nie dlatego, żeby rozumu nie miał, ale że serce w nim było tak miękkie, że o sobie nie pamiętając nigdy, nad drugimi się litując, zawsze w końcu pokutować za to musiał.

Bywało, siadą u jednej miski, bracia go zawsze odjedzą, a w końcu jeszcze i łyżkami po głowie biją, z czego on się śmieje... Najgorszą koszulinę zawsze miał, podarte łapcie, ale się tem nie gryzł i choć czasem przymarzył a wygłodził się, ale widział, że drudzy mieli do syta, a dobrze mu było, — on radował się także. Starsi od niego zawsze co chcieli wydurzyli, a potem wysmiewali się z niego. Ojciec i matka gryźli się tem, bo przewidywali, że na świecie źle mu będzie i nigdy nie dojdzie do niczego. Zostawiono go czasem w chacie do dozoru, — nie obeszło się bez szkody. Przyszedł ubogi, a prosił, Gawel mu oddał co gdzie znalazł, bodaj koszulinę z grzbietu, a zwierzęta karmił od gęby sobie odejmując, a każdemu na słowo wierzył i oszukiwał go kto chciał.

Ojciec go kilka razy obił za tę głupotę, aby przecie o sobie pamiętał, ale rozumu mu nie nabił. Gawelek jakim był, pozostał. Miał już taką naturę.

Raz gdy nikogo w chacie nie było a Gawel na przyzbie siedział, zjawił się przed wrotami ubogi, ale tak strasznie goły, bosi, odarty, głodny, biedny, zapłakany, osłabły, że chłopcu okrutnie go się żal zrobiło. A jak mu jeszcze zaczął opowiadać o nieszczęściu swoim, Gawel o wszystkim zapomniał. Wziął go do chaty i co było w niej najlepszego, ojcowską koszulę, sukmanę, chodaki, czapkę, oddał wszystko. Obiad, który stał na przypiecku przygotowany, odgrzał i nim go nakarmił. Naostatek wiedząc gdzie jest ojcowski węzełek, groszy co było w domu oddał ubogiemu wszystkie, krom dwóch trzygroszówek.

Napojony, nakarmiony, odziany, ubogi odszedł błogosławiąc chłopca, ale i śmiejąc się z niego potrosze...

Wkrótce potem matka z ojcem nadeszli, a Gawel im z wielką radością wypowiadał się z tego co zrobił. Ojciec wpadł w okrutny gniew, tak, że go nawet matka pohamować nie mogła, począł syna kijem okładać okrutnie, grożąc, że go zasiecze jeżeli się kiedy w chacie pokaże.

— Idź trutniu! — wołał — idź, gdzie cię oczy poniosą, giń marnie i niech cię nie znam!

Gdy Gawel miał już precz iść, matka się nad nim ulitowała i przez okno rzuciła mu dwie pozostałe trzygroszówki.

Wziął je biedak zasmucony, i — co było robić? — ojciec, choć mu do nóg padał, słuchać nic nie chciał, musiał precz iść. Myślał sobie, jak się ojciec przegniewa, powróć — i przebaczy. Ojciec zaś mówił — niech sam nauczy się dbać o siebie, inaczej nas zuboży i nic z niego nie będzie.

Wyszedł tedy Gawel na gościniec, popatrzał — dokąd tu mu iść?.. westchnął do Boga i puścił się gdzie oczy poniosą.

Jeszcze się był niedaleko od wsi odsadził, gdy spotkał jednego ze swych braci.

— A dokąd to?

— W świat idę, ojczyisko się pogniewało, nabił mnie i kazał precz iść, a na oczy mu się nie pokazywać.

Starszy brat rozśmiał się i rzekł:

— Dobrze ci tak, boś głupi. Jak rozumu nabierzesz, wówczas powrócisz. Odwrócił się od niego śmiejąc i poszedł.

Trochę dalej pod gruszą, patrzy, siedzi brat drugi i pyta go:

— Dokądże to?

— A no, w świat, bo mnie ojciec wygnał precz.

Drugi brat śmiać się też począł i powiada:

— Szczęśliwej drogi, głupi Gawelku! Będzie nas mniej, to się lepiej najemy.

Szedł więc Gawel, szedł, aż trzeci brat pędzi woły z paszy.

— A ty dokąd?

— Z chaty mnie wygnali... bywaj zdrów, wędrować muszę, a na drogę nie mam ino dwa trzygroszniaki.

Trzeci brat ruszył ramionami.

— Jabym ci i złamanego szeląga nie dał, odezwał się, takiemu głupcowi jak ty dawać, to w dziurawy worek tkać. Bywaj zdrów!

Pożegnawszy się w ten sposób z rodziną, nie miał już Gawel co robić we wsi i okolicy i przyspieszywszy kroku, puścił się nieznaną drogą. Głodno mu było, smutno bardzo po swoich, ale jednak Panu Bogu ufał. Kogo Bóg stworzył, tego nie umorzył, — mówił sobie. Kraj dokoła stał jakiś pusty bardzo. Szedł tedy, szedł, nikogo nie spotykając długo, aż idzie człek naprzeciw, a na plecach worek niesie, w worku się coś szamocze żywego.

— Boże pomagaj, — odezwał się Gawel — co to niesiecie, pocziwy człeczce?

Ten stanął.

— Co ty mnie pocziwym nazywasz — ofuknął się, — pocziwy to znaczy głupi... ja nim nie jestem. Niosę kota czarnego, aby go utopić. Kot był szkodnik, zamiast myszy łapać, mleko wypijał i do misek zaglądał. Uczepię mu kamień do szyji i niech idzie na dno.

To mówiąc pokazał głowę kota Gawłowi, a było to stworzenie takie śliczne, lśniaco czarne, z dużymi oczyma, z pyszczkiem różowym, że się Gawłowi niezmiernie żal go zrobiło.

— Takiemu młodemu, ślicznemu kotkowi ginąć!... Daj mi go! — rzekł do chłopca — co masz topić, ja go wezmę...

— Darmo! — zaśmiał się chłop. — O! nie, tego obyczaju u mnie niema. Wolę utopić jak dać darmo. Nabralbym złego nalogu.

— Zapłacić nie mam czem — odparł Gawel — całego majątku mam dwa trzy groszniaki, ale jeżeli jednym się zaspokoisz? Co robić! Byłem kotkowi życie ocalił.

Chłop podumał, ruszył ramionami, wziął trzygroszniak i kota mu oddał.

Gawełek szedł dalej, wesół, że bożemu stworzeniu życie ocalił, a kot też zdawał się rozumieć wyświadczone dobrodziejstwo, bo się do nowego pana tulił i pomrukiwał. Miał chłopiec w kieszeni chleba kawałek, więc choć sam jeść chciał, pomyślał, że on sobie łatwiej strawy dostanie. Przełamał chleb na pół, pokruszył go i nakarmił kota, który zjadłszy z apetytem na rękę u niego usnął.

Odszedł może stai kilkoro, patrzy, znowu człek idzie i worek niesie, a w worku się coś szamocze...

— Pomagaj Bóg człeczce, — rzekł stając Gawel, — a co to za towar niesiecie?

— Towar? — odparł człowiek — nie towar to żaden, nie prosię tłuste, ani gęś, ale złe i niepocziwe psisko. Drobiu mi już zdusił kilkoro a szczeka, a po nocach wyje... przywiążę mu do szyji kamień, niech idzie na dno.

To mówiąc, pokazał psa Gawłowi, który mu się wydał bardzo śliczny. Psiuk miał taką minę, jakby się prosił aby mu życie darowano. Litość wzięła Gawła.

— Dajcie mi go — rzekł.

— Darmo? toć skóra przecie coś warta? Kuśnierz ją zafarbuje i sprzeda za lisią. Co dasz?

— Jedyne tylko, ostatnie mam trzy grosze — odezwał się Gawełek, dobywając groszniak z węzélka.

— Co robić, dawaj choć tyle, — rzekł śmiejąc się człowiek — a nie, to psa zabiję albo utopię.

Targ w targ, musiał Gawel zapłacić za psa ostatnie trzy grosze, a człek mu psiuka oddał i poszedł rechocząc ze śmiechu, głupim go zowiąc, o co się Gawel nie gniewał.

Pies około niego skakał, szczekał i przypadał mu do nóg.

Trzeba go było nakarmić. Dobył chłopak ostatni kawałek chleba, pokruszył go i psu oddał... Tak tedy z kotem na rękę i psem u nogi, puścił się dalej w drogę.

Głód mu mocno dokuczał a i nogi zmęczone nie dopisywały.

Siadł więc pod gruszą, na kamieniu, myśląc, co dalej robić?

Pies się położył z jednej strony, kot z drugiej. Gawęł tymczasem Panu Bogu dziękował, że mu się dwoje stworzeń uratować udało.

Tylko głód czuł wielki i w żołądku mu świdrowało. Słońce się miało ku zachodowi, w polu jak zajrzeć, ani gospody, ani miski. Co tu robić? Bieda! Ani sobie, zwierzętom poradzić. Dokoła pustynia, ani jeść niema co, ani się gdzie przespać, a tu noc nadchodzi.

— Albo to Pana Boga niema? — rzekł pocieszając się Gawęł.

Spojrzał na swoich towarzyszków. Kot siedział, oczy żółte to przymrużając, to otwierając szeroko... Pies spoglądał na niego i ogonem kiwał.

— A co! bieda? — odezwał się wesoło do pieska...

Pies, jakby go zrozumiał, zerwał się, nosem pociągnął, zaczął chodzić wkoło, ziemię wachać, naostatek nuż grzebać.

Grzebie, grzebie tuż przy nogach chłopca, aż się zasapał, coraz głębiej coraz żywiej, ziemię łapami odrzuca, a oczy mu się świecą, poszczekuje wesoło, coraz to spojrzę na Gawła i grzebie dalej a dalej.

— Co to on sobie myśli? — rzekł w duchu Gawęł; — już ciż on darmo dla zabawki tego nie robi i musi coś znać i wiedzieć.

Wtem pies nozdrza zapuścił w wykopany dół powąchał mocno, podniósł się i szczeknął, jakby w głąb wykopanej jamy pokazywał chłopcu.

Gawęł wstał, pochylił się i zajrzał... Patrzy: na samym dnie leży coś błyszczącego; rękę zapuścił głęboko i dobył pierścień, świecący, duży, piękny, ale piaskiem i ziemią oblepioną na nim okryty. Nigdy Gawęł tak wspaniałego klejnotu nie widział i oglądał go z ciekawością wielką. Złoty był, jakby ze sznura grubego upleciony, a w środku jego siedziało oko dziwne, patrzące jak ludzkie i mieniające się coraz inną barwą. Gawęł począł go ocierać, ażeby oczyścić, ale razem i myślał sobie:

— Pierścień jak pierścień, piękna rzecz, ale co mi z tego, kiedy gospody nie ma, ani wieczerzy...

Ledwie że mu to przez głowę przeszło — patrzy, — aż osłupiał... Stoi we drzwiach wspaniałej gospody, pies i kot też byli przy nim; jeden się asi, drugi poszczekuje i prowadzą go przez wspaniałą sień, do ślicznej izby. Żywej duszy w niej nie było, ale stół nakryty bielizną białą, a na nim wieczerza taka, że dwóchby się nią królewiczów najadło, taka dostatnia i smaczna. Misa klusek z serem, aż się kurzy, chleb, masło, kura pieczona, woda we dzbanku, piwo i miód...

Niewiele tedy myśląc, zasiadł uradowany Gawęł sam jeść i dwór swój nakarmić, bo o nim zapomnieć nie mógł; a jadł wygłodzony aż mu za uszami trzeszczało i Panu Bogu dziękował, na pierścień cudowny spoglądając, bo tego się dorozumiewał, że wszystko to jemu jedynie był winien.

Usługi około stołu nie było żadnej, ale taki osobliwy porządek, że miski i talerze, skoro się wypróżniały, znikwały w oczach...

Gdy się Gawęł dobrze najadł i napił, zachciało mu się spać, i byłby się choć na ziemi położył, bo do tego był nawykły, ale w drugiej izbie widać było posłane łóżko, pościel śliczną, białą, a w dodatku i odzież piękną, nową, w którą nazajutrz mógł się ubrać... Więc Panu Bogu podziękowawszy, szedł do łóżka, i jak legł tak natychmiast zasnął. Kot i pies pokładli się też przy nim.

Jak długo spał, sam nie wiedział, bo sen miał tak mocny, że się nawet na drugi bok nie przewrócił. Otworzywszy oczy, zobaczył już wielki dzień, biały, słońce przyświecające wesoło, kot się umywał a pies siedział z uszami do góry i powitał przebudzenie pana wesołym szczekaniem.

Skoczył Gawęłek co żywo umywać się odziewać, a bieliznę i suknię wdziawszy, sam siebie nie mógł poznać. Na ścianie wisiało ogromne zwierciadło, w którym przejrzawszy się, przekonał, że wypiękniał przez tę noc i do królewicza był podobny...

Zaledwie się tak przystroił, trochę mu się ckliwo zaczynało robić bo byłby co przekąsił chętnie, gdy w pierwszej izbie zobaczył stół nakryty, i już go zachodził zapach krupniku, tak pokusliwy, że musiał do misy biedz co rychlej aby nie ostygł.

O kocie i psie nie zapominając, dobrze się posilił Gawel. Cóż tu dalej robić? Siedzieć tak w niemej tej gospodzie samemu jednemu, jeść, pić i spać tylko — nudno. Pomyślał tedy sobie — trzeba w drogę dalej...

To mówiąc potarł swój pierścień i oto w mgnieniu oka, znalazł się znów na drodze, sam jeden ze psem tylko i kotem. Gościnniec tylko był inny, nie ten, którym szedł wczoraj. Szeroko wybity, wysadzany wielkimi staremi drzewami, ciągnął się jak okiem zajrzeć krajem wesołym i żyznym, na który miło było popatrzeć.

Ludzi na polach uwijało się około roboty mnóstwo; złociste pojazdy szły drogą; na prawo i na lewo dwory, pałace i wioski widać było wesołe. Szedł więc Gawel dalej, w cieniu drzew powoli, wszystkiemu się przypatrując, a nie spiesząc. Przed nim biegł pies, za nim sunął się kotek...

Ponieważ Gawel w kieszenie nabrał chleba podostatkiem nie potrzebował już we dnie gospody, siadł pod drzewami, sam się najadł i swoich towarzyszków nakarmił. Dopiero pod wieczór trzeba było o noclegu pomyśleć.

Znalazła się też jak raz wieś bardzo wielka i porządna, do miasteczka podobna, bo w środku jej było targowisko dokoła domami obstawione. Właśnie w chwili gdy wchodził tu Gawel, ogromne zbiorowisko ludu napełniało plac, a w środku na koniach stali ludzie i głośno coś z papieru czytali.

Widać było po konnych, iż z urzędu zostali posłani, bo mieli na sobie suknie wyszywane z herbami, i kapelusze z piórami na głowach, a jeden wprzód trąbił nim drugi miał czytać, aby ludzie słuchali...

Cały tłum stojący dokoła zafrasowane bardzo miał twarze; niektórzy ręce łamali i rozpaczać się zdawali. Ten co na koniu siedział, czytał co następuje z papieru:

— Z rozkazu króla jegomości Gwoździka, ogłasza się wszystkim wiernym jego poddanym, że oto wielkie nieszczęście grozi państwu, albowiem potężny ale niegodziwy sąsiad, król Strasznej Góry, Bimbas, z wojskiem nieprzeliczonem ciągnie przeciw Gwoździkowi i chce kraj zniszczyć i zawojować. Ktoby przeciwko niemu wystąpił, a Gwoździka i jego państwo od zagłady uratował, temu król rękę swej córki jedynaczki, najpiękniejszej z królewien Marmuszki, przeznaczą i po siebie mu królestwo przekaże!

Słuchał tego czytania Gawel — i natychmiast spytał stojącego przy sobie wieśniaka, którądy droga do zagrożonej stolicy, i gdzie się nieprzyjaciel znajdował?

Na to jeden z heroldów odpowiedział, że Bimbas z wojskiem stał już o pół dnia od miasta, a do niego stąd nie było dalej jak dzień drogi.

Gawel począł zaraz pierścień swój trzeć i żądać, aby mu się wojsko stutysięczne zebrało dla pobicia nieprzyjaciela króla Gwoździka; miał bowiem na myśli ożenić się potem z królowną Marmuszką, — no — i spokojnie sobie panować temu królestwu. Jeszcze pierścień tarł, gdy sam ujrzał się na koniu, a poza wsią zaczęło się ukazywać wojsko wielkie i trzech wojewodów przybiegło do niego po rozkazy.

Gawel wyjechał przez zdumiony lud się przerzynając, wśród okrzyków radosnych do swojego wojska, rozkazując mu biedz przeciwko Bimbasowi na obronę stolicy... Sam też z wojewodami puścił się wczwał, zapomniawszy nawet o swoim kocie i psie; ale oni oba tuż za koniem biegli nieodstępni.

Nim rozedniało, wojsko Gawłowe, on i wojewodowie, już byli pod murami stolicy Gwoździka, który się był zamknął w niej, bo ludzi miał mało i już nie wiedział co począć.

Bimbas tymczasem zbliżał się, zapewniony, że nie znajdzie siły, któraby mu się opierać śmiała, gdy Gawel ze trzema wojewodami i wojskiem swem jak piorun spadł na niego.

Co się tam działo, opowiedzieć trudno; dosyć, że jak zajrzeć, pola okryły się trupami, a sam Bimbas zaledwie z życiem uszedł. Gawel zaś po odniesieniu zwycięstwa, pod murami stolicy króla Gwoździka położył się obozem, i trzech swoich wojewodów wysłał w poselstwie z pozdrowieniem, dopominając się królowny Marmuszki w małżeństwo, wedle uroczyscie danego na to słowa.

Krół Gwoździk, który z wieży na odniesione zwycięstwo patrzył wraz z królowną, natychmiast wyjechał na spotkanie przyszłego zięcia. Król był staruszek zgrzybiały, ma-

leńki, a koronę miał ciężką i wielką na łysej głowie, która mu ciągle aż na nos prawie opadała, tak, że ją podtrzymywać musiał...

Przywitał go Gawel u namiotu swojego, uściskali się, przyczem Gwoździak koronę pod pachę wziął bez ceremonii i poprowadził go na zamek do córki. Tu wystrojona królowna Marmuszka czekała już na narzeczonego w szatach ze złotogłowiu, — piękna tak, że jak od słońca bił blask od niej, ale minkę miała dumną, na wybawcę spoglądała z góry.

Gwoździak, poczciwe człowieczysko, koronę rzuciwszy do kufra i pozbywszy ceremonialnych strojów, w doskonałym humorze siadł za stół. Wesele Gawła z królowną Marmuszką odbyło się tegoż dnia, przy wielkie<sup>1</sup> radości wszystkich mieszkańców stołecznego grodu.

Byli na niem jeszcze trzej wojewodowie Gawła i wojsko jego całe<sup>2</sup> stało pod murami, ale, że bardzo dużo jadło i piło, król Gwoździak przymówił się wprędce, czyby go nie można rozpuścić.

Gawel zgodził się na to, i poszedłszy w kątek potarł swój pierścień wydając stosowne rozkazy. Nazajutrz i wojewodów i wojska nie stało, a Gawel pozostał sam z żoną.

Wkrótce jakoś potem stary Gwoździak, który pić i jeść, a za stołem długo przesiadywać lubił, zjadłszy na wieczrę ogromny krąg kielbasy i wypiwszy całą stągiew piwa, w nocy Panu Bogu ducha oddał. Sprawiono mu pogrzeb wspaniały, poczem Gawła ukoronowano razem z jego żoną i poczęło się panowanie.

Kotek i pies przy nowym królu nieodstępni byli ciągle.

Jak Gawel królował? domyślić się łatwo, znając dobre jego serce. Począł od tego, że biedny lud od wszelkich podatków i od ciężkich danin uwolnił, dla ubogich pozakładał szpitale i domy przytułku, a po całych dniach z kotem i psem chodząc, szukał żebraków, kalek i sierot, aby im pomagać, ratować, odziewać i karmić.

Królowej się to nie podobało, a jeszcze mniej wszystkim panom przy dworze, którzy na to nosem kręcili, że Gawel ich pochlebstw nie słuchał i nie obdarzał ich, a cały był biednym oddany.

Zaczęli więc panowie owi podrwiwać z króla i nawet ośmielili się przed królową przebąkiwać, że król to był osobliwy jakiś i musiał chyba sam być lichej kondycji, kiedy się tak kochał w pospolitym gminie.

Ubodło to królowę, która, choć męża dosyć kochała, dumną była z tego, iż pochodziła z wielkiego rodu Gwoździaków i Cwieczków. Zaczęła więc wypytywać męża o jego ród i genealogię Gawel śmiejąc się, zbywał ni tem ni owem, czem wielką wzbudził w niej ciekawość.

Zaczęła mu się więc bardzo przymilać królowa, udawać dla niego nadzwyczajną miłość i zaręczać mu, że choćby prostym chłopem był, ona równie kochałaby go zawsze i wdzięczną mu była za ocalenie królestwa. Zwolna też coraz natarczywiej dowiadując się i badając go królowa Marmuszka, jednego wieczora, gdy sami byli i siedzieli w ogrodzie słuchając słowików, zaczęła go usilnie prosić i zaklinać, aby jej historję, swoją od dzieciństwa poczynając opowiedział. Gawel dobroduszny, wyznał jej wszystko, a naprzód, że prostym chłopskim synem był, i jakim sposobem do tego cudownego pierścienia doszedł. Nie krył się nawet z tem, gdzie ten swój skarb nosił i jak go było potrzeba używać.

Królowa Marmuszka dowiedziawszy się o tem, że zaślubiła chłopca, nie dała tego znać po sobie, ale niezmiernie się zgryzła, postanawiając zgubić go i od niego się uwolnić.

Jednego tedy razu, gdy Gawel mocno zasnął, wcale się nie obawiając niczego, zakradła się królowa i pierścień mu zręcznie z zanadra dobywszy na swój palec włożyła, żądając od niego, aby Gawel natychmiast przeniesiony został do wielkiej wieży, na pustej wyspie wśród morza, i tam do śmierci pod strażą siedział, więcej ani jej, ani królestwa swojego nie oglądając.

Gdy poczciwy Gawel obudził się, już był wedle rozkazania żony zamknięty i zobaczywszy, że pierścienia nie miał, domyślił się, że go zdradziła królowa.

Wdrapał się na górne piętro wieży, aby choć zobaczyć gdzie go osadzono, i ujrzał dokoła tylko jedno morze, a jak okiem zajrzeć, maleńką wyspę skalistą, o którą się bałwany rozbijały, i morskie ptastwo, które żałośnie piszcząc, latało dokoła.

<sup>1</sup>wielkiej. [przypis redakcyjny]

<sup>2</sup>całe. [przypis redakcyjny]

Kogo mu najbardziej żał było, to kota i psa, przyjaciół swych wiernych, których tu z nim nie było. Ale, gdy się to działo, ów pies i kot również po całym zamku swojego pana szukali, biegali, wachali, nie mogąc się domyśleć, co się z nim stało. Piesek dopiero pierścień spostrzegłszy na palcu u królowej, bo ta go nigdy nie zrzuciła, domyślił się, iż zdradą pozbyła się męża. — We dwu z kotem osnuli więc plan, jakimby sposobem mogli dobrego pana pomścić i uwolnić.

Kot począł od tego, że z zajądłością największą rzucił się na myszy zamkowe, aby zmusić je do pomocy, dla odzyskania pierścienia. On i pies który mu we wszystkim dopomagał, tępił je bez miłosierdzia. Wkońcu też do ostateczności doprowadzone myszy, którym na zamku dobrze było i wynosić się z niego nie chciały, zwołały sejm w piwnicy.

Począwszy radzić z wieczora, ponieważ głosy były podzielone, a każda mysz chciała długą mowę powiedzieć i pochwalić się, że umie pięknie mówić — radziły do rana i — nic nie uradziły. Nazajutrz zwoławszy się znowu, o mało się nie pokąsały. Cała gromadka podzieliła się na dwa obozy, a trzeci stanął w pośrodku, aby je zgodził. Ten zagryziono na śmierć. Dziesiątego dnia, gdy kot coraz okrutniej się pastwił nad niemi, postanowiono nareszcie wysłać do niego poselstwo...

Kot przyjął je, ale zapowiedział, że o żadnym *modus vivendi* mowy być nie może, dopóki myszy mu pierścienia od królowej nie dostaną. Wyszpiegował on, że w nocy królowa go w ustach trzymała, z obawy, aby się z palca nie zsunął, bo rękę miała małą i paluszki cienkie, a pierścień był duży.

Myszy tedy ratując naród swój od zagłady, musiały wkraść się do sypialni i czatować. A że to są stworzenia bardzo przemyślnie i mądre, obmyśliły łaskotać tak śpiącą Marmuszkę, aby śpiąca pierścień z ust wypuściła. Raz i drugi się to nie udało, naostatek, gdy ciągle myszki ogonkami jej około ust poczęły łaskotać, królowa otworzyła je, a pierścień wypadł i zsunął się na podłogę; tu pies i kot czekali już i pies chwyciwszy pierścień, natychmiast skrobać począł do drzwi, skomlić, aż służąca wstawszy wypuścić go musiała.

Pies i kot razem tejże nocy wykradli się precz z zamku i z miasta w pole, a że wiedzieli już instynktem, że Gawel na wyspie pustej wśród morza się znajdował, wprost do morza dążyli... Szli i szli, bo bardzo daleko było od brzegu, aż nareszcie dostali się do niego. Ale jak tu się przez wodę przeprawić?

Kot nie umiał pływać, a nie chciał się zostać, bo utrzymywał, że bez niego się tam nie obejdzie. Ułożyli się więc, ażeby pies wziął go na grzbiet, a kot miał w pysku pierścioneć nieść, i tak do wyspy płynąć mieli.

Wszystko z początku szło pomyślnie, byli już na pół drogi od wyspy, którą zdala widzieli, gdy pies zapytał kota.

— Masz pierścień? — A mam! — odparł kot — ale gdy to mówił, otworzył gębę i — pierścień wypadł z niej i w głębi morza utonął. Nie śmiał się już do tego przyznać ze strachu, aż stanęli na wyspie. Tu się pies pytał.

— A gdzie pierścień?

— Trzymałem go wiernie, — rzekł kot z boleścią, — ale gdyś mnie zapytał niepotrzebnie, otworzyłem pyszczek aby odpowiedzieć i... pierścień poszedł na dno morza.

Pies wpadł w ogromną wściekłość.

— Kocie! zdrójco jakiś — zakrzyczał — rób co chcesz! ratuj się jak możesz, ale ci to przysięgam na Cerbera, że jeśli mi pierścienia jakimkolwiek sposobem nie odzyskasz, zgryzę cię na śmierć... a sam też potem głodem się zamorzę.

Kot nie miał innego sposobu, bo prostaczek był i wymyślić nic nowego nie umiał, tylko tak samo sobie postąpić z rybami, jak na zamku z myszami. Stanął więc, by czatować na ryby i dusić je bez miłosierdzia.

Tysiącami trupów leżało na brzegu; morderstwo było okrutne, ryby się przestraszyły. Zwołały więc i one sejm wielki, ale daleko inny niż u myszy. Zasiadły ogromne jesioty, lososie, szczupaki i różne ich matadory, w jednej chwili uradziwszy poselstwo do kota. Drobne rybki musiały słuchać, i ani myślały się przeciwzić, boć im nawet głosu nie dano.

Kot już czekał na brzegu. Jesiotr stary począł do niego mowę, ale tej on ani chciał słuchać.

— Śmierć wam wszystkim — zamiauczał — jeśli mi pierścienia nie dostaniecie. Róbcie co chcecie, inaczej pokoju nie będzie! Natychmiast ryby wielkie, którym się nie

chciało samym w błocie i szlamie brukać na dnie wykomenderowały dziesięć tysięcy ma-  
leńkich, aby pierścienia szukały i tegoż dnia uboga płotka go przyniosła... Stary jesiotr  
go jej odebrał i popłynął do kota.

Radość była wielka, ale na tem nie koniec. Pierścień wprawdzie mieli, a dostać się  
z nim do środka wieży nie było sposobu. Nie było do niej żadnego wnijścia, żadnej dziu-  
ry, żadnego okna i tylko wierzch miała otwarty, którędy powietrze wchodziło. Kot więc  
ofiarował się drapać na mur do pana... Pies został pod wieżą, siadł na skale i pilnował.

Lezie tedy kot, lezie, trzyma się pazurami kamieni, dobrał się do połowy wieży, a tu  
go siły opuściły... i... buch... na ziemię. Ale że kot zawsze na nogi pada, więc mało co się  
utrząśł. — Pies zawarczał:

— Musisz się dostać na górę, a nie to cię zagryzę, próbuj drugi raz.

Ledwie wytchnąwszy, kot po raz wtóry począł wędrówkę po murze i spadł znowu,  
a pies go za kark pochwycił i o mało nie zdusił.

— Polezę raz jeszcze, jęknął kot, tylko daj mi odetchnąć.

Za trzecim razem kot już tak pazurami się chwycił i wybierał dobrze kamienie, że się  
do wierzchołka dostał.

Gawel właśnie siedział tam na ławce kamiennej i tęsknie na morze patrzył, gdy swojego  
pocziwego kota zobaczył, który bezsilnie padł u nóg jego, a razem i złoty pierścień się  
potoczył...

Pochwycił go Gawel uradowany, biedne stworzenie razem na ręce biorąc, bo kot już  
ledwie dyszał...

Ponieważ go tam na wieży o suchym chlebie i wodzie trzymano, król Gawel głodny  
był i zmizerowany, więc potarł pierścień, żądając gospody, dla siebie, psa i kota...

I w tejsze chwili znaleźli się wszyscy za stołem w tej samej izbie, w której Gawel już  
raz bywał, gdy od rodziców wyszedł... Nie tylko odpocząć, zjeść i napić się potrzebował,  
a towarzyszków nakarmić, ale i o tem pomyśleć co dalej robić. Do królowej, która go  
tak niegodziwie zdradziła powracać nie bardzo chciał, chociaż ją kochał. — Wszelako  
pięknego królestwa żal mu było, a nadewszystko ubogich, żebraków, kalek i wszystkich  
biedaków, którym mógł być pomocą i opieką.

Wyspawszy się i najadłszy, nimby coś postanowił Gawel, zażądał on sobie przejść się  
trochę, między zielonością i drzewami, których nie widział dawno, — znów więc na tę  
samą wybrał się drogę co w pierwszej podróży i trafił do tej samej wioski.

Dziwna rzecz, tak jak pierwszym razem, znalazł się tłum ogromny w rynku, prze-  
straszony i lamentujący.

— Pocziwi ludzie, co się tu u was znowu dzieje — zapytał — biedę jakąś widzę  
macie?

— Och! bieda, bieda! — odpowiedział mu wójt, — a już nas teraz nikt ratować z niej  
nie przyjdzie. Królowa i królestwo padnie ofiarą. Niewiadomo co się z królem Gawłem  
stało, który panem był rozumnym i silnym. Teraz, gdy go niema, niepocziwy Bimbas  
dowiedział się o tem, ciągnie na stolicę i zawojuje nas, a zawojawszy każe swoim językiem  
gadać, do swoich modlić się bogów i zażąda, abyśmy wszyscy skórę z siebie poździerali  
a powkładali tę, którą on nam narzuci. A to jest najstraszniejsza rzecz, jaka naród biedny  
spotkać może.

Gawel słuchał i dumiał. Do królowej żal miał wielki, to prawda, ale czyż za to królestwo  
jego pokutować miało?...

Potarł więc pierścień, żądając sto tysięcy wojska i trzech wojewodów. W mgnieniu  
oka wojewodowie nadbiegli, wojsko stanęło, Gawel na koniu siedział i ciągnął pod stolicę  
na odsiecz!...

Gdy się tu wojsko jego pokazało, a Bimbas je zobaczył, nie czekając bitwy, począł  
uciekać... Bito więc ich w pogoni na kapustę siekąc, a i sam niepocziwy Bimbas padł na  
placu.

Królowa z zamku patrzyła i mdlała ze strachu. Wprawdzie nieprzyjaciel został odparty,  
ale Gawel, mąż jej będzie chciał się na niej pomścić za zdradę... Przebłagać go, nie widziała  
sposobu... Zwycięzki pan wchodził już do swej stolicy...

Marmuszka zamknęła się w izbie, i padłszy na ziemię, losu straszego jaki ją spotkać  
musiał czekała, będąc pewna, że król ją teraz na tę samą pustą wyspę zesła, aby tam  
w wieży siedziała. — Ale Gawel nadto pocziwi i dobry był, ażeby się miał mścić srogo...



Otworzono wrota, panowie i starszyzna plackiem padła pod nogi panu, udając niezmierną radość z jego powrotu...

Gaweł nic nie mówiąc, wprost do żony prowadzić się kazał. Staął we drzwiach.

— A co? królowo Marmuszko, — rzekł, a tom ja znów zjawil się w porę. Nieprawdaż? Na wieży mi się strasznie nudziło, Pan Bóg pomógł, przyjaciele poratowali... Musimy tedy znowu żyć razem, bo co się sobie raz ślubowało, to się rozerwać nie może...

Mógłbym się ja mścić, ale nie chcę. Podła to rzecz...

Bez kary jednak słusznej nie ujdiesz, królowo moja.

Tu Marmuszka głowę podniosła słuchając.

— Jestem sobie prosty chłop... Gaweł... z chłopca królem zostałem i z tem się nie taję. Poszłaś za mnie Marmuszko, jesteś żoną moją, więc wraz ze mną musisz za karę iść i rodzicom moim w chacie ubogiej, do stóp się pokłonić... Naówczas wszystko ci przebaczę i zapomnę.

Królowa Marmuszka uściskała nogi jego i na wszystko się zgodziła.

Nazajutrz jak dzień, potarł król pierścień, żądając być na drodze do chaty rodziców... I on i Marmuszka, oboje w koronach złotych w płaszczach z gronostajami, za niemi dwór, wozy, konie, skarby, aż strach. Idą, idą, aż jeden z braci Gawłowych pędzi woły z paszy, i zobaczywszy króla, padł na ziemię przestraszony, bijąc czołem. A był w prostej sukmanie, odarty i brudny. Stał król śmiejąc się.

— A coś to ty mnie nie poznał?... Tociem Gaweł, rodzony twój brat tyłkom się przez moją głupotę korony dorobił, gdy ty z swoją mądrością woły pasiesz. Wstawaj i chodź z nami.

Musiła tedy królowa Marmuszka ścierpieć, że chłop jeden już przy niej szedł.

Trochę dalej, patrzą, idzie brat drugi, chude konie popędzając. Zobaczywszy orszak królewski, co prędzej na bok odegnał szkapę i nie śmiejąc nawet spojrzeć na Gawła, padł pozdrawiając go. A ten woła:

— Wstawaj! nie poznałeś mnie, brat twój jestem, chodź z nami.

Pod samą chatą nastraszył się ich tak samo brat trzeci — i zbliżyli się nareszcie do wrót.

Ojciec i matka wybiegli się przypatrywać orszakowi, który się zatrzymał. Rodzice oboje nie poznali Gawła, aż po głosie, gdy się odezwał do nich i pokłonił obojgu...

— Bóg wam zapłać, kochani moi, żeście mnie precz z chaty wygnali, bo gdyby nie to, nie doszedłbym do królestwa i nie mógłbym wam na starość być pomocą. Więc, dziękuję wam z duszy, a gdy mnie Bóg na tronie posadził, abym nie zapomniał nigdy żem taki człek jako i inni ludzie, chodźcie wy ze mną i zasiądźcie przy mnie w chłopskich sukmanach, abym się pokory uczył i w dumę nie wzbijał.

To rzekłszy, Gaweł rodziców swych poszanowawszy, zabrał ich z sobą do stolicy, w której gody nowe sprawiwszy, sto lat szczęśliwie królował z królową Marmuszką, a synowie jego po dziś dzień w tem państwie panują.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-chlopa-krol>

Tekst opracowany na podstawie: Bajki i powiastki Stanisława Jachowicza i Ignacego Kraszewskiego z 10-ma rycinami, nakł. Księgarni Dra Maksymiljana Bodeka, Lwów 1924.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0476-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).